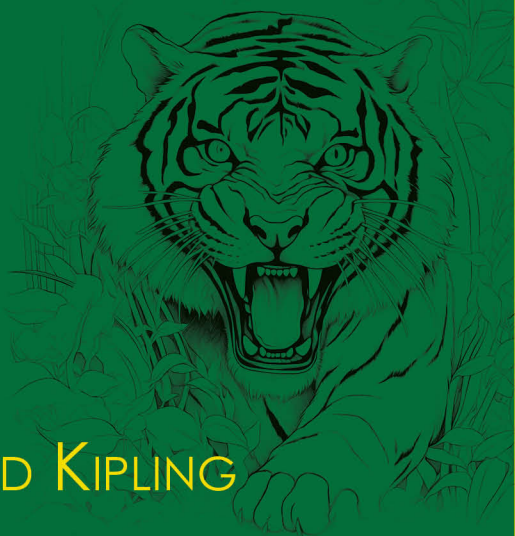
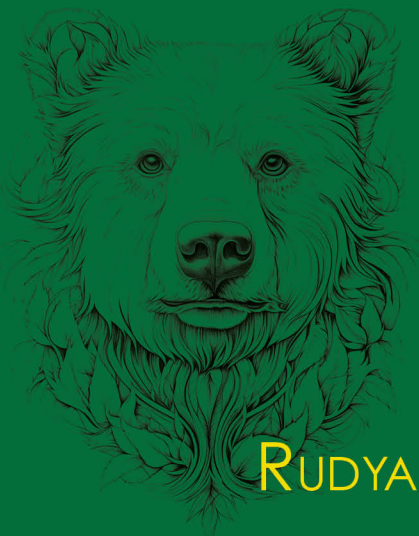


Klasyka literatury dziecięcej



RUDYARD KIPLING

KSIĘGA DŻUNGLI



Klasyka literatury dziecięcej

RUDYARD KIPLING

KSIĘGA DŻUNGLI

Redaktor prowadzący
Agnieszka Wójtowicz-Zajac

Opracowanie
Agnieszka Wójtowicz-Zajac

Korekta
Ziemowit Ostrożny

Opracowanie graficzne i skład
Mateusz Cichosz | @magik.od.skladu.ksiazek

Projekt okładki
Przemysław Szczepkowski

Tłumaczenie
Franciszek Mirandola

Copyright by Pumilio 2025

Wszelkie prawa zastrzeżone

Wydanie I

Wrocław 2025

ISBN 978-83-67492-85-0

Wydawca
Pumilio sp. z o.o.
Stoczniowa 77
51-215 Wrocław
redakcja@pumilio.pl
www.pumilio.pl

Spis treści

Przedmowa	5
Bracia małego Mauli.	7
Piosenka łowiecka wilków seeoneeńskich	31
Śpiew <i>bandar-logów</i> wędrujących.	61
Na tygrysa.	63
Mauli śpiewa, tańcząc na skórze Shere Khana rozpostartej na Skale Rady	82
Biała foka.	85
Lukannon	107
Riki-Tiki-Tavi	109
Tak śpiewał krawiec Darci	126
Tumai, przyjaciel słoni	127
Sziwa i konik polny	146
Śpiewka zwierząt obozowych podczas rewii.	165

Przedmowa

Zazwyczaj, gdy się pojawia książka tego rodzaju, specjaliści zasypują autora nader hojnie pytaniami, skąd czerpał materiał. Toteż na wstępie czynię zadość ich ciekawości i śpieszę z wyjaśnieniem oraz podziękowaniem dla mych łaskawych informatorów.

W pierwszej linii poczuwam się do gorącej wdzięczności wobec czcigodnego, uczonego i zasłużonego Bahadur Szacha, słonia jucznego Rządu Indyjskiego, zarejestrowanego w spisie pod liczbą 174, który wraz z uroczą swą towarzyszką, genialną Pudmini, dostarczył mi mnóstwo nieocenionych szczegółów do ustępu pt. *Tumaj, przyjaciel słoni*. Szczegóły owe weszły także do opowieści pt. *W służbie królowej*.

Opowieść pt. *Bracia malego Mauli* powstała na podstawie danych zebranych w różnych czasach i miejscach, otrzymanych od mnóstwa cnych P. T. informatorów, którzy pragną zachować jak najściślejsze *incognito*.

W tym miejscu winien jeszcze autor wyrazić hołd swój pewnemu hinduskiemu dżentelmanowi, którego rezydencja mieści się na stromych lesistych szczytach gór Jakko. Śpieszę tedy wyrazić mu swą, uszczypliwą może nieco, estymę, wymownie kreśląc podziwu godne cechy charakterystyczne jego rasy, zaprawdę bardzo starej, którą nazwałbym – prezbiteriańską.

Ogromnie dużo zawdzięczam również mędrcowi – *Sachi* – owemu niezmordowanemu w badaniach i przemyślnemu jeżozwierzowi, członkowi rozproszonego niedawno szczepu ludów seeoneeńskich. Ten dzielny artysta, który węszył wszędzie i wycierał wszystkie kąty, zaznajomił mnie z wieloma lokalnymi sprawami południowych Indii. Wraz ze swym mistrzem zwiedzał on wielką połąć

kraju, pociągnięty urokiem, pięknnością i rodzinną kulturą wielu wiossek i osiedli i odeń to otrzymałem mnóstwo ważnych wiadomości odnośnie do ludowych zwyczajów i obyczajów.

Dużo z nich weszło do opowiadania pt. *Na Tygrysa, Łowy węża Kaa* oraz *Bracia małego Mauli*.

Odnosnie do ustępu *Riki-tiki-tavi* autor oświadcza, że wszystko winien jest uprzejmości jednego z najwybitniejszych herpetologów Górnych Indii, nieustraszonemu badaczowi, którego hasłem jest „żyć to wiedzieć”. Ów nieśmiertelnej sławy, samoistny mędrzec poświęcał nieraz swe życie, kierując się tą maksymą przy badaniu naszych wschodnich tenatofidii („jadowitych”).

Szczęśliwy przypadek w podróży sprawił również, że autor, jadąc statkiem „Cesarzowa Indii”, miał za współpasażera pewnego maleńkiego informatora. Ile wziął odeń nieocenionych szczegółów, sam czytelnik osądzić zechce, przeglądając opowiadanie pt. *Biała foka*.

Bracia małego Mauli¹

Noc nadchodzi, to pora łupów sępa Chila
I nietoperza Manga, i innego zwierza.
Ludy dżungli bój zaczną lub wznowią przymierza,
Bo nadszedł czas turnieju, wielka łowów chwila.
Walczyć dzielnie, o ludy, póki dzień nie wstawa,
Szanując jednak wiernie stare dżungli prawa.
(Nocna pobudka ostępu)

Skwarny to był wieczór, kiedy około siódmej przebudził się wilk-ojciec, śpiący dotąd w jaskini na płaskowzgórzu Seenee położonej i zaczął przeciągać powoli, z namysłem łapy, chcąc wygnać rozleniwienie senne i przywrócić gibkość kończynom. Matka-wilczyca leżała z nosem utkwionym w czeredę czworga wilcząt, które ruszały się niespokojnie, piszcząc. Przez otwór wejściowy jamy zaglądała pyzata twarz miesiąca.

– Uu! – mruknął wilk. – Czas na polowanie!

Właśnie chciał ruszyć na łowy, gdy nagle w wejściu zjawił się cień jakowegoś małego stworzenia o puszystym ogonie i zaskowyczał głos:

– Szczęśliw bądź zawsze, o wielki wodzu wilków! Niech ci się darzą dziatki, niech mają ogromne białe kły i niech w sercu swym nie zapomną nigdy o nieszczęsnym głodomorze!

Głos ten wydawał szakał, zwany Tabaki-pieczeniarsz. Marną ową stworzą gardzą zazwyczaj wilki dżungli Hindostanu, bowiem jest to natrętny gałgan, wywołuje intrygi, plotkuje, wadzi jedne rody zwierząt

1 Mauli – decyzją tłumacza imiona bohaterów zostały zapisane fonetycznie.

z innymi, a przy tym żywi się wstrętnymi odpadkami po śmietnikach wiejskich, pożerając nawet szmaty i kawałki rzemieni. Jednocześnie zwierzęta obawiają się szakala-pieczeniara, popada on bowiem łatwo we wściekliznę, a w takim razie porzuca wrodzoną tchórzliwość, biega po całym lesie i kąsa każde stworzenie, jakie dosięgnąć może. Staje się tak straszny, że sam nawet tygrys zmyka przed nim, wściekła bowiem to największa hańba, jaka spaść może na zwierzę dżungli. Zwą ją one – *devanee*, czyli szaleństwem i chronią się przed owym złem na wszelkie sposoby.

– Wejdz i poszukaj! – odparł oschle wilk-ojciec. – Chociaż, o ile wiem, nie ma tutaj żadnego pożywienia.

– Naturalnie! – rzekł przypochlebie Tabaki. – Nie ma może jadła godnego wilka, ale mizerota jak ja, zadowolony się byle jaką kosteczką! Czyliż nam – *gidurlogom* (ludowi szakali) – wolno przebierać i w pożywieniu?

Zaczął węszyć i niebawem wygrzebał gdzieś w kącie sarnią kostkę z odrobiną mięsa. Przykucnął i zaczął smacznie zajadać.

– Bardzo dziękuję za tak gościnny poczęstunek! – zawołał, mlaszcząc językiem. – Ach! Co za uroczy młodzieńcy! – dodał, patrząc na młode wilczki. – Jakże bystre mają oczy i to w tak młodym wieku! Hm... hm... prawda... dzieci władcy dorastają bardzo prędko!

Tabaki wiedział dobrze, że nie należy chwalić dzieci w oczy. Uczynił to jednak, by nasycić się zakłopotaniem wilka i wilczycy. Przez chwilę siedział cicho, rozkoszując się złośliwą uwagą swoją, potem zaś rzekł:

– Wielki Shere Khan przenosi się na inne miejsce. Słyszałem, że od najbliższego nowiu zacznie tutaj polować.

Shere Khan, wielki tygrys, mieszkał dotąd nad rzeką Wajguną, odległą o jakichś dwadzieścia mil².

– Nie wolno mu uczynić tego! – zawarczał wilk gniewnie. – Prawa dżungli zabraniają nachodzenia cudzych obszarów łowieckich bez zawiadomienia i pozwolenia właścicieli. Przepłoszy nam zwierzynę

2 mila – chodzi o milę angielską, równą ok. 1,6 km. (przypis tłumacza)

w obrębie przynajmniej dziesięciu mil i to jak na złość właśnie teraz, gdy ja muszę polować za dwoje.

– Matka moja – rzekła łagodnie wilczyca – słusznie zwała go „kuternogą”... *lungri*... Od małego utyka na jedną łapę i dlatego poluje tylko na bydło domowe. Musiał pewnie doprowadzić do wściekłości farmerów znad Wajgungi, ucieka przed nimi i zjawia się, by tutaj uczynić to samo. Oczywiście niebawem przetrząsną w poszukiwaniu za nim całą dżunglę. Zapewne ucieknie, ale mściwi ludzie podpalą trawę i my i dzieci nasze będziemy się musieli również wynosić. To wszystko zawdzięczać będziemy przekłętemu Shere Khanowi.

– Czy mam mu powiedzieć, jakie dlań życie uczucia? – spytał Tabaki.

– Milcz! – szczechnął wilk gwałtownie. – Wynoś mi się stąd razem z twym kulawym chlebobdawcą! Dość łajdactw i tak narobiłeś dziś!

Tabaki odrzekł spokojnie:

– Idę. Mogłem, co prawda, oszczędzić sobie przynoszenia wam wieści, bo oto, jak sami słyszycie, zapewne Shere Khan przybył obojętnie i siedzi w pobliskich zaroślach.

Wilk nastawił uszu.

Od strony łąki zbiegającej w dół ku strumieniowi doleciał wrzask gniewny, donośny podrażnionego tygrysa, który chybił w skoku na zdobycz i nic sobie nie robi z tego, że dowie się o jego porażce cała dżungla.

– Dureń – powiedział wilk. – Któż zaczyna robotę od takiego krzyku? Czy sądzi, że nasze jelenie są podobne do jego spasionych byków znad Wajgungi?

Przerwała mu wilczyca:

– Cicho bądź! Nie na wołu ni jelenia poluje on tej nocy, ale na człowieka!

Ryk tygrysa przemienił się w pomruk, a głos dolatywał nie z jednego punktu, ale jakby zewsząd. Jest to sztuczka znana dobrze, a wprawia w takie osłupienie ludzi spędzających noc w dżungli i tak ich myli, że często chcąc uciekać, sami wpadają tygrysowi w szpony.

– Poluje na człowieka? – zdziwił się wilk, szczerząc kły. – Czyż tedy zabrakło już glist i żab w bagniskach, że zabiera się do ludzi i to w dodatku na naszym obszarze?

Słuszne i mądre prawa dżungli wzbraniają zwierzętom zabijając człowieka. Dozwolone to jest tylko, gdy idzie o pokazanie dzieciom, jak należy walczyć z ludźmi, a i wówczas polowanie takie musi się odbywać z dala od rodzimego lasu, poza terytorium gminy własnej czy rodu. Prawo to uzasadnione jest względami natury praktycznej. Zamordowanie człowieka wywołuje niechybnie najście na dżunglę ludzi białych, z karabinami, siedzących na słoniach, otoczonych krajowcami uzbrojonymi w hałaśliwe gongi, pochodnie i inne straszne przyrządy. Gdy taka czereda zwali się do lasu, źle się dzieje mieszkańcom dziewiczych borów. Zwierzęta tłumaczą sobie owo prawo inaczej. Nie przystoi, powiadają, dzielnemu łowcy uganiać się za człowiekiem, który jest najslabszym ze stworzeń i nie posiada naturalnych narzędzi obrony. W dodatku ponoć wszyscy zjadacze ludzi parszywieją rychło i wypadają im zęby.

Pomruk tygrysi rósł coraz bardziej, aż przemienił się w potężny okrzyk bojowy. Widocznie zwierz rzucił się na zdobycz.

Ale niezwłocznie zabrzmiało przeraźliwe, naprawdę niegodne tygrysa wycie Shere Khana.

– Nie powiodło mu się coś! – powiedziała wilczyca.

Wilk-ojciec wychylił się z jamy i usłyszał wyraźnie dziki pomruk gniewu i warczenie Shere Khana miotającego się w zaroślach.

– Niedołęga. Skoczył na ognisko rozłożone przez drwali i poparzył sobie łapy. Tabaki jest przy nim.

– Ktoś idzie wzgórzem! – powiedziała wilczyca, nastawiając jedno ucho. – Uważaj!

W zaroślach rozległ się trzask gałęzi. Wilk zebrał się w sobie i złożył do skoku. Szkoda, drodzy czytelnicy, że nie mogliście widzieć, co się teraz stało. Oto wilk-ojciec odrzucił się od ziemi potężnie i cisnął wprzód całe ciało, ale nagle wywinął się prosto w górę, podleciał jak ptak w powietrze na kilka stóp i spadł na to samo niemal miejsce. Zatrzymał się tedy w skoku, zmieniawszy zamiar.

– To człowiek! – warknął ze złością. – Małeńki człowiek! Popatrz no, matko!

Zobaczyli tuż przed sobą małego brunatnego chłopczykę, wspartego na kijku. Był tłusty, nagusieńki i stąpał z trudem niemałym. Naprawdę, nic chyba podobnego nie zjawiało się dotąd w wilczym osiedlu. Malec stał już przed wilkiem z podniesioną głowiną i śmiał się w najlepsze.

– To ma być człowiek? – zdziwiła się wilczyca. – Nie widziałam nigdy takiego człowieka! Przynieś go do jamy.

Wilki, nawykłe przenosić swe małe, umieją to czynić tak delikatnie, że mogłyby wziąć w paszczę jajko, nie uszkadzając go. Toteż, mimo że zęby zwierzęcia objęły małe ciało, nie zadrasnęły skóry dziecka, które za chwilę leżało pośród wilcząt u łona karmicielki.

– Jaki ładniutki! Jaki golutki! Jaki śmiały! – dziwowała się wilczyca.

Dziecko szukało wolnej sutki u ciepłej piersi przybranej matki.

– Ho... ho... jaki mądry! Zabiera się do ssania! Więc to jest małe szczeniátko ludzkie? Chyba nie ma na świecie drugiej wilczycy, która by się mogła poszczycić takim wychowankiem!

– Podobno stało się tak już raz, doszły mnie słuchy, ale nie zdarzyło się to ani w rodzie naszym, ani w tych czasach! – powiedział ojciec poważnie. – Jest goły, słaby, mógłbym go po prostu rozdeptać nogą, a jednak patrzy mi prosto w oczy, nie odczuwając strachu.

W tej chwili zaćmiło się wejście do jamy, albowiem cały otwór wypełnił olbrzymi, kanciasty łeb i potworny kark Shere Khana. Tygrys starał się wcisnąć do środka, a Tabaki stojący za nim skomlił:

– Władco dżungli, malec tutaj się schował!

– Co widzisz? To Shere Khan! – zawołał wilk-ojciec, błyskając wściekle oczyma. – Wielki to dla mnie zaszczyt! Czego życzysz sobie, kuternego?

– Oddaj mi łup! Mały człowiek schował się tutaj... Oddaj mi go zaraz!

Shere Khan rzeczywiście poparzył sobie łapy, skoczywszy na ognisko drwali, a przeto popadł w wielką wściekłość. Nie obawiał go

się jednak ojciec-wilk, wiedząc dobrze, że dla tygrysa otwór jamy jest za szczupły. Tkwił on też w nim głową i karkiem i nie mógł się ruszać podobnie, jak by nie mógł występować zaczepnie człowiek wtłoczony w beczulkę.

– Wilki są wolnym ludem! – zawołał ojciec-wilk. – Słuchają tylko wodza własnego rodu, nie robią sobie natomiast nic z bydłobójców, choćby byli pomalowani w pręgi. Mały człowiek jest naszym łupem i zrobimy z nim, co nam się spodoba!

– Ho... ho...! – zaryczał tygrys. – Cóż to za głupie przechwałki! Czyż mam tkwić nosem w tej śmierdzącej budzie? Oddaj mi natychmiast, co moje! Słyszysz, parszywy psie? Shere Khan do ciebie mówi!

Głos tygrysa roztętnił się donośnie w jamie. Matka-wilczyca zerwała się z posłania, poskoczyła ku napastnikowi, utopiła świecące niby księżycy ślepie w rozgorzałych źrenicach jego i zawarczała:

– Słuchaj, *lungri*, słuchaj, kuternogo, tego co ci powiem ja, *raksha*, wilczyca, zwana szatanem. Mały człowiek jest mój, będzie żył i na złość tobie będzie polował razem z naszym rodem. Przekonasz się, skrytobójco, pożeraczu niemowląt, łowco zdechłych ryb i śmierdzących żab, że niedługo ten malec rozpocznie polowanie na ciebie! Wyoś mi się precz! Słyszysz? Inaczej klnę się na sambhura, którego dziś upolowałam – nie żywię się bowiem jak ty padliną – że będziesz zmykał za chwilę, oparzony niedołego, kulejąc lepiej jeszcze, jak to czynisz od chwili, kiedy cię matka na świat wydała. Wyoś mi się stąd zaraz, powiadam!

Wilk-ojciec spojrział ze zdumieniem. Wspomnił one czasy, kiedy zdobył swą żonę w uczciwej, a zacieklej walce z pięciu rywalami. Nie darmo zyskała ona czasu wypraw łowieckich całego rodu miano szatana, czyli *rakshy*. Zmiarkował to snadź i Shere Khan, że nie da rady wilczycy, zwłaszcza w danej sytuacji, bo będzie walczyła do upadłego. Wycofał się tedy z ciasnego otworu, a poczuwszy się na wolnej przestrzeni, warknął zaciekle:

– Każdy pies śmiały jest na własnym śmietniku! Przekonamy się, co powie ród wasz o tym głupim pomysle hodowania człowieka

w wilczej jamie. Malec jest mój i prędzej czy później wpadnie w moją paszczę! Zapamiętajcie to sobie, złodzieje o puszystych ogonach!

Wilczyca wróciła do małych, pomrukując z irytacji, a wilk-ojciec rzekł poważnie:

– Muszę przyznać słuszność Shere Khanowi. Należy malca pokazać rodowi. Czy chcesz go naprawdę chować, matko?

Oburzyła się.

– Po cóż pytasz o to? Przywłókł się tutaj sam jeden biedny, naguteńki, mrący głodem i nie bał się wcale. Odepchnął jedno z moich małych i ssie. Ten drab byłby go porwał i zaniósł nad Wajgunge, a tymczasem ludzie naszych okolic urządziliby wielką obławę, mszcząc śmierć malca. Ładnie byśmy wyglądali wszyscy! Naturalnie, zatrzymam go w jamie. Leż sobie mój maleńki, mój *Mauli*, moja droga żabko! Przyjdzie czas, że zapolujesz na kulawego Shere Khana, jak on polował na ciebie.

– Zobaczymy, co powie rada! – zauważył wilk-ojciec.

Wedle praw dżungli każdy wilk pojawiający się z żoną, żyje osobno w swej jamie, ale skoro jego wilczęta podrosną na tyle, że mogą biegać, winien przywieść je na zgromadzenie rady, odbywające się raz w miesiącu przy pełni księżyca. Ma to na celu stwierdzenie ich tożsamości i nadanie praw rodu, którego stają się członkami. Po oględzinach młode wilczki udają się do rodziców, żyją z nimi, wzrastają i dopóki nie upolują pierwszej sarny, żadnemu wilkowi z tego samego rodu nie wolno ich zaczepiać ani ranić. Prawo to nie zna łaski i wilk, który by zabił młodzieńca, zostaje natychmiast ukarany śmiercią na miejscu czynu. Każdy chyba przyzna, że prawo to jest mądre i słuszne.

Gdy wilczęta zaczęły już biegać, wilk-ojciec i wilczyca-matka zaprowadzili je wraz z Maulim-żabką na Skalę Rady, czyli otoczony złomami skalnymi wierzchołek wzgórza, gdzie było dość miejsca dla obrad stu wilków co najmniej.

Na płaskim bloku skalnym, pośrodku wzgórza leżał wyciągnięty wielki, siwy już wilk-samotnik, tak silny, sprytny i mądry, że został obrany naczelnikiem rodu. Wokół niego przysiadło około czterdzieści wilków różnej wielkości i maści. Byli tam weterani o sierści

przypominającej borsuka, tak potężni, że w pojedynkę zarzynali z łatwością rosłe jelenie dzungli, a obok nich widniały czarniawe, trzyletnie wilczury, zadzierzyste i butne, pewne, że potrafią dokazać tejże samej sztuki. Akela-samotnik już od roku był naczelnikiem rodu. W życiu zdarzyło mu się niejedno, kilka razy wpadał do dołu najeżonego palami, był tak zbity kijami, że porzucono go jako trupa, toteż posiadał wiele doświadczenia i znał się na podstępach i chytrłości ludzi.

Rozprawy na Skale Rady były bardzo zwięzłe. Wokół zasiedli rodzice wilczą, które igrały wesoło pośrodku. Od czasu do czasu zbliżał się do tej gromadki starszy wilk, przyglądał się bacznie to temu, to innemu malcowi, a potem wracał w milczeniu na swoje miejsce. Czasem któraś z matek wysuwała swe dziecko na środek zalanej księżycowym światłem polanki, by nie zostało przypadkiem pominięte. Akela leżał na swym gładzie i powtarzał raz po raz:

– Znać prawo... znać je dobrze! Badajcież tedy dobrze, o wilki!

Matki powtarzały wołanie niespokojnymi głosami:

– Badajcież uważnie... badajcież uważnie, o wilki!

Matka-wilczyca uczuła, że grzywa jeży jej się na karku, gdy mąż wysunął Mauli-żabkę na środek koła. Malec rzucił się zaraz ze śmiechem na ziemię i zaczął skwapliwie zbierać iskrzące się w świetle, połyskliwe krzemienie.

Akela leżał dalej spokojnie z łbem pomiędzy łapami i naszczekiwał monotonnie:

– Badajcie uważnie, o wilki!

Nagle spoza skalnych złomów doleciał głuchy ryk tygrysa.

– Malec jest moim łupem! Oddajcie mi go natychmiast. Cóż wolnemu rodowi po małym człowieku?

Akela nie potrząsnął nawet uszyna. Powtarzał dalej swoje:

– Badajcież uważnie, o wilki! Wolny ród nie słucha innych rozkazów ponad własne prawo! Badajcież dobrze, o wilki!

Rozległy się wokół szemrania, a któryś z młodych wilków zwrócił się do Akeli i powtórzył pytanie Shere Khana:

– Cóż wolnemu rodowi po małym człowieku?

Prawo dżungli powiada, że w razie sporu, czy młode szczenię ma należeć do rodu, czy nie, o tej jego przynależności rozstrzygają dwa głosy przychylnie członków rodu, oczywiście z pominięciem głosów rodziców.

– Kto głosuje za małym człowiekiem? – spytał Akela. – Kto spośród członków wolnego rodu chce, by przyjąć ludzkie szczenię do gromady?

Zaległa cisza. Matka-wilczyca uczuła, że musi stoczyć teraz walkę, a zarazem, że będzie to ostatnia walka w jej życiu.

Naraz ozwał się ciężki, spasty, brunatny niedźwiedź Balu, jedyny obcy przypuszczony do rodu, wykładający wilczętom prawo dżungli. Balu wszędzie był mile widziany, albowiem nie spierał się z nikim o łup, żywił się miodem dzikich barci, orzechami i korzonkami.

– Ja daję głos za małym człowiekiem! Ja głosuję za szczenięciem ludzkim! Cóż nam złego może uczynić Mauli-żabka? Nie mam daru wymowy, ale mówię prawdę. Pozwólcie mu pozostać pośród gromady wilków, ja zaś będę go uczył praw dżungli.

– To głos jeden! – powiedział Akela. – Któż daje głos drugi? Balu, nauczyciel dzieci naszych, oświadczył się za szczenięciem ludzkim, któż spośród rodu przyłącza się do jego zdania?

Wtem cień jakiś zamajaczył na zalanej światłem polance. Była to Bagera, pantera czarna. Sierść jej kruczej barwy, w pełnym, księżycowym świetle lyskała srebrnymi cętkami, niby mieniący się jedwab czarny. Wszyscy znali Bagerę i spośród całego rodu żaden wilk nie ośmieliłby się stawać wbrew jej zamysłom. Była przebiegła jak Tabaki, popędliwa jak dziki bawół, a nieustraszona jak ranny słoń. Natomiast słodki jej głos przypominał patokę³ ciekącą po pniach drzew z dzikich barci leśnych, a włos przewyższał miękkością puch najdelikatniejszy.

– Czcigodny Akelo i wy członkowie wolnego ludu wilków! – powiedziała. – Co prawda nie przystoi mi zabierać głosu w waszym zespole. Atoli ogólne prawo dżungli powiada, że jeśli idzie o spór

3 patoka – płynny miód.

dotyczący niedorostka, jakiegokolwiek bądź narodu puszczy, wolno o losie jego i życiu wyrokować za pomocą okupu. Tak mówi prawo, nie objaśnia zaś, komu wolno okup ten złożyć. Tedy nie jest zabronione, by członek jednego rodu składał okup za członka rodu innego! Czy nie mam racji?

– Masz rację! Najzupełniejszą rację! – wrzasnęła czereda młodych, wiecznie głodnych wilków.

– Słuchajmy Bagery! – ozwali się wszyscy. – Szczenię ludzkie może zostać okupione! Prawo wyraźnie zezwala na to!

– Nie mam prawa głosować w waszym rodzie! – powiedziała Bagera. – Proszę was o pozwolenie przemawiania w tej sprawie.

– Mów! Mów! – wrzasnęło całe zgromadzenie.

– Jest to rzeczą nikczemną mordować nagie, bezbronne szczenię. Zważcież przy tym, że gdy malec podrośnie i utyje, stanie się znacznie lepszym kąskiem. Balu głosował za tym, by żył w waszym rodzie, ja głosuję za pomocą okupu, dodając do jego głosu młodego, tłustego bawołu, którego przed chwilą zadusiłam o małe pół milki stąd. Spożyjcież go ze smakiem, ale proszę, przyjmijcie małe ludzkie szczenię, wedle prawa, do swego rodu. Sądzę, że nic temu nie stoi na przeszkodzie?

Zaczęły się burzliwe narady, na ogół jednak przychylne dla malca.

– Mniejsza z tym! Zginie i tak czasu pory deszczowej! Zginie od żaru słońca w lecie! Cóż nam szkodzić może ta goła żaba? Niech sobie biega z wilkami! Gdzież ten bawół, Bagero! Pokaż nam! Trzeba przyjąć okup!

Pośród tego rozbrzmiewało nieustanne naszczekiwanie Akeli:

– Badajcie dobrze, o wilki! Badajcie dobrze!

Malec pozostał zupełnie obojętny na to wszystko, nie zważał wcale na wilki, które go przychodziły oglądać, i bawił się kamykami.

Za chwilę całe zgromadzenie udało się na poszukiwanie bawołu, a na Skale Rady pozostali tylko Akela, Bagera, Balu i sprzymierzone z Maulim wilki. Shere Khan porykiwał w dali, rozgniewany porażką i niemożnością odzyskania swego łupu.

– Wyj sobie, wyj! – szydziła Bagera. – Znam się na ludziach i pewna jestem, że ten malec zmusi cię do skomlenia z innego zgłota tonu.

– Rad jestem, że się tak stało! – powiedział Akela. – Ludzie to przemysłne stworzenia. Ten malec może nam się nieraz przydać.

– Tak ... Tak – odrzekła Bagera – może się bardzo przydać, zwłaszcza, że nikt nie może ludzić się, iż panowanie jego nad rodem trwać będzie w nieskończoność.

Zmilkł Akela. Przez myśl mu przeszło, że może niedaleki już dzień, kiedy zostanie zabity przez wilki jako stary i niedołężny wódz, by ustąpić miejsca innemu, który po pewnym czasie dozna tego samego losu.

– Zabierz go z sobą – rzekł do wilka-ojca – i wychowuj, jak przystało kształcić członka wolnego ludu!

Mauli-żabka został w ten sposób przyjęty do rodu wilków seeconeńskich, okupiony bawołem oraz życzliwym wstawiennictwem mądrego Balu.

Musicie, czytelnicy, przerzucić się myślą przez okres jakichś lat dziesięciu czy jedenastu i w wyobraźni tylko własnej przedstawić sobie ów dziwny żywot małego Mauli pośród wilków, gdyż, chcąc wszystko opisać, musiałbym stworzyć mnóstwo książek.

Wychowywał się razem z wilczętami, które jednak, jak to łatwo zrozumieć, wyrosły na stare wilki, gdy tymczasem on był ciągle jeszcze małym chłopcem. Wilk-ojciec wyuczył go, jak się ma starać o żywoność oraz tłumaczył mu wszystko, co go otaczało w dżungli. Z czasem zrozumiał, co znaczy najlżejsze drgnienie źdźbła trawy, powiew ciepłego wiatru w nocy, krzyk sowy w dziupli drzewa, szmer na korze pnia, spowodowany przez przysiadającego na chwilę nietoperza lub pluśnięcie rybki w wodzie. Te wszystkie odgłosy poznał dokładnie i zaznajomił się z nimi tak dobrze, jak człowiek z codziennymi swymi zajęciami zawodowymi.

Gdy się nie uczył, grzał się na słońcu i spał, potem szukał pożywienia i zasypiał znowu. Gdy czuł, że jest brudny lub że mu gorąco, zanurzał się w jednej z leśnych sadzawek, a chcąc dobrać się do

miodu, którego spożywanie wraz z orzechami zalecił mu Balu i który mu smakował nieraz lepiej niż surowe mięso – wdrapywał się poń na drzewa. Tej to sztuki wyuczyła go Bagera. Siedząc na gałęzi, wabiła go do siebie, a Maui wspinał się w górę, zrazu niezdarnie jak opasły rosomak, potem jednak, nabrawszy wprawę, hulał pośród gałęzi, niby płowa małpa.

Miał swe miejsce na Skale Rady podczas zebrań wilków i przy jednej z takich sposobności uczynił odkrycie, że wystarczy mu spojrzeć bystro w oczy któremuś z wilków, by go zmusić do odwrócenia głowy. Robił też nieraz przysługi swym przyjaciółom, wyciągał im z kudłów ciernie, co jest rzeczą niemалą, bowiem takie drobne, nikłe, kłujące kolce dokuczają bardzo zwierzętom. Nieraz w nocy udawał się w dolinę ku polom uprawnym i spozierał z ciekawością na mieszkania ludzi. Ale nie miał do nich zaufania od kiedy Bagera pokazała mu w lesie paść⁴ ukrytą zręcznie pośród gęstwiny. Było to pudło czworoboczne z zapadającym się pomostem, przeznaczone do łapania dzikich zwierząt i Maui omalże nie wstąpił na zdradziecką deskę. Najbardziej atoli lubił kryć się wraz z panterą na całe dni w niedostępnych oczeretach puszczy i spać tam godzinami aż do wieczora. Gdy słońce zaszło, Bagera rozpoczynała łowy, a chłopiec przypatrywał się i uczył od niej. Pantera polowała na wszystką zwierzynę, podług zachcianki czy podniety głodu. Maui czynił to samo, z pewnym jednak zastrzeżeniem. Unikał zabijania bawołów, bowiem od chwili, kiedy zaczął pojmować, wiedział od przyjaciółki, iż życie jego okupione zostało ofiarą bawołu.

– Wszystko w dżungli jest twoje! – nauczała go Bagera, – Polować możesz na każde stworzenie, któremu podołasz siłami. Ale przez pamięć tego bawołu, którym zostałeś okupiony, nie zabijaj członków owego rodu, ani nie jedz ich mięsa. Tak nakazuje prawo puszczy!

Maui pilnie przestrzegał owego prawa.

4 paść – pułapka.

Rósł, mężniał i stał się silny, zresztą inaczej nie mogło stać się z chłopcem, który nie chodził do szkoły, nie męczył się niczym, a dbał tylko o to, by miał co jeść.

Matka-wilczyca powtarzała mu ze swej strony, by nie dowierzał Shere Khanowi, który jest jego wrogiem. Wiedział od niej, że przyjdzie dzień, w którym będzie musiał zabić tygrysa i gdyby był młodym wilkiem, nie zapomniałby niezawodnie o tym obowiązku. Uleciało mu to jednak rychło z głowy, albowiem był tylko chłopcem, chociaż nazywałby się niewątpliwie sam wilkiem, gdyby umiał myśl swą wyrazić w jakimkolwiek narzeczu ludzkim.

Ale Shere Khan nie zapomniał o nim wcale. W miarę jak stary Akela, naczelnik, niedołęzniał z wiekiem, kulawy tygrys nawiązywał coraz to bliższe stosunki z młodszymi wilkami rodu, wodził je za sobą i karmił resztkami upolowanej zwierzyny. Gdyby Akela był w pełni sił i mógł wymusić poszanowanie praw obowiązujących, nie byłoby nigdy doszło do tego. Shere Khan schlebiał głupim młodzikom, wychwalał ich piękność i podburzał je przeciwko Akeli, dziwując się niby, że tylu dzielnych, mądrych wojowników znakomitego rodu może podlegać władzy starego samotnika i gołego szczenięcia ludzkiego.

– Słyszałem – mawiał tygrys chytrze – że podczas obrad nie ma z was żaden odwagi spojrzeć mu w oczy!

Młode wilki warczały groźnie i jeżyły sierść, gdyż wstyd im było tej niższości swojej.

Bagera miała słuch niezrównany i dowiedziała się, jak sprawa stoi, toteż nieraz przypominała z naciskiem Maulemu, że pora skończyć z Shere Khanem. Ale chłopak śmiał się niefrasobliwie i odpowiadał:

– Mam po swojej stronie większość poważnych członków rodu, wreszcie ty i Balu, chociaż leniwy, nie będzie szczędził pazurów w mej obronie, nie potrzebuję się tedy niczego lękać!

Pewnego dnia przyszło to znów na myśl Bagerze, a może podszepnęła jej nowinę jezatka *sahi* wałęsająca się wszędzie. Siedziała wraz z Maulim zaszyta w największą gęstwę boru, a chłopiec spoczywał z głową opartą o jej czarne futro.